

CATHERINE MCKENZIE

**NIKOMU
NIE
POWIEM**

Tytuł oryginału
I'll Never Tell
Copyright © 2019 by Catherine McKenzie
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Julia Deja
Korekta:
Anna Strączyńska
Agnieszka Sajdyk
Anita Szymańska
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-202-9

CATHERINE MCKENZIE

**NIKOMU
NIE
POWIEM**

TŁUMACZENIE
PIOTR RAGANOWICZ
PAULINA RAGANOWICZ

OŚWIĘCIM 2020

Amanda

22 lipca 1998, 21:00

Festiwal lampionów po raz pierwszy urządziliśmy dopiero przedostatniego roku mojego pobytu w Camp Macaw. Mimo to zachował się w mojej pamięci tak samo, jak pozostałe letnie wspomnienia: zapach dymu z cotygodniowego ogniska, gra, w trakcie której robiliśmy tyle hałasu, jakby złapała nas burza, albo próba przechwycenia flagi przeciwnika podczas hasania po lesie. Igły sosnowe i błoto, piasek i krem do opalania.

Pomysł był prosty, a wynik efektowny: wykonać lampion z bibułki, drutu i świeczki, a następnie napisać życzenie na delikatnych ściankach. Można było spisywać prawdziwe pragnienia, płynące z głębi serca, ponieważ kilka godzin później lampiony podpalano i wypuszczane do nieba odpływały, by osiąść na jakimś odległym lądzie.

Ceremonia rozpoczęła się o zachodzie słońca, kilka dni przed końcem turnusu lipcowego. Tamtej nocy trzymałam wykonany przez siebie lampion w pewnej odległości, by nie pogniótł się podczas drogi na kąpielisko. Szłam tam z resztą uczestników obozu. Do sandałów wpadały mi kamienie. Moja najlepsza przyjaciółka, Margaux, zachichotała, gdy podniosłam stopę i zaczęłam nią mocno potrząsać.

- Uwaga, spadające kamienie!
- Jak kamień w wodę!
- Kamień, papier, nożyce.
- Trafiła kosa na kamień...

– Uspokójcie się wreszcie – zganił nas starszy brat Margaux, Ryan, oglądając się przez ramię. W jego głosie pobrzmiwało lekkie poirytowanie. Miał dwadzieścia lat, co w stosunku do naszych siedemnastu czyniło go w moich oczach prawdziwie dorosłym. Poza tym to jego imię zapisałam jako swoje życzenie.

Margaux pokazała mu język, a następnie przybrała wyraz udawanej powagi na twarzy. Jako młodsze opiekunki powinnyśmy dawać dobry przykład. Zazwyczaj bierzemy sobie tę odpowiedzialność do serca, poza tym mówiło się, że jeśli w drodze na plażę będziemy zbyt hałasować, nasze prośby się nie spełnią. A oprócz tego – zasady to zasady. Czy tego, kto wysłuchiwał naszych życzeń, obchodziły frywolne myśli nastolatka? Wolaliśmy nie ryzykować.

Było nas razem sto pięćdziesięcioro, licząc obozowiczów i pracowników, a każdy niósł wielokolorowy lampion z papieru – kalejdoskop marzeń i nadziei. Wślizgnęliśmy się na plażę, a zamiast zwyczajnego szumu przeplatających się francuskich i angielskich głosów, tym razem towarzyszyło nam milczenie. Ostrzeżenie, że coś nadchodzi, coś ważnego, odwiecznego. Powierzchnia jeziora była gładka, co jest częste przy zachodzie słońca, a mdły zapach wody tak dobrze nam znany, że już niemal go nie czuliśmy. Ryan powiódł nas na pomost pływający, który kołysał się pod stopami. Wiatr muskał nasze twarze, a zza horyzontu wynurzał się księżyc w pełni. Jego blask odbijał się od lustrzanej tafli wody. Dwieście stóp dalej niewielka flota żaglówek kołysała się łagodnie na cumach, a linki do podnoszenia żagli wystukiwały tylko sobie znaną melodię.

Jakaś dziewczyna przede mną potknęła się o krawędź pomostu i jej lampion wylądował z pluskiem w wodzie.

– O nie!

– Sza! – rozległo się ze strony wszystkich dwudziestu opiekunów. Dziewczynka, może dziesięcioletnia, ukryła twarz w dłoniach; jej ramiona drżały.

Jej dzisiejsze życzenie się nie spełni, pomyślałam, mocniej ściskając uchwyt lampionu, chociaż doskonale wiedziałam, że moje marzenie nigdy się nie ziści – drżenie w sercu było bardziej pożądanym życzeniem niż oczekiwaniem.

A jednak...

Pomost zbudowano w kształt litery U w taki sposób, że idąc cały czas przed siebie, wychodziło się z drugiej strony, z powrotem na plażę. W połowie jego długości, na miejscu dla ratownika, Ryan wyciągnął z kieszeni plastikową zapalniczkę. Kilka trzasków później płomień oświetlił jego przystojną twarz. Podczas każdego lata w obozie zawsze był taki Ryan, który przewodził chłopakom i miał stały wianuszek wielbicielek. W latach pięćdziesiątych, kiedy Camp Macaw rozpoczął działalność, Ryan trzymałby Zippo, a z ust zwisałby mu papieros. Ale mieliśmy rok 1998, nosiliśmy sandały Teva i szorty, a chłopcy mieli potargane włosy.

Zwykła zapalniczka będzie musiała wystarczyć.

Dla większego efektu powinniśmy wypuścić lampiony, stojąc jak najbliżej siebie. Ryan uwijał się szybko. Gdy znalazł się przy mnie, obróciłam lampion, upewniając się, że tę stronę, na której widnieje życzenie, mam przyciśniętą do bluzy. Ryan był tego typu facetem, który mógłby wziąć go z moich rąk tylko po to, by zobaczyć, co napisałam. Taki numer zrobił zeszłego lata, kiedy byłam u szczytu swojego zauroczenia. Wtedy nie odważyłam się napisać jego imienia. Zamiast tego nabazgrałam głupio, że chciałabym nauczyć się stać na desce do windsurfingu. On wtedy zaproponował mi lekcje, ale tak naprawdę nie miał na to ochoty. Wówczas byłam tylko kolejną zadurzoną w nim dziewczyną, jedną z wielu.

Ale nie tego lata. Zebrałam się na odwagę i napisałam czego, a raczej kogo, pragnę. Tym razem jednak, zamiast spróbować coś przeczytać, Ryan pochylił się ku mnie i szepnął:

– Spotkamy się później na wyspie?

Mogłam jedynie skinać głową, podczas gdy serce podskoczyło mi w piersi, niczym żaba na rozgrzanej od słońca szosie. Pstryknął zapalniczką i zapalił moją świeczkę. Przez chwilę trzymałam lampion blisko siebie, czując jak ciepło przesącza się przez cienki papier. Przesunęłam się naprzód, czekając, aż zacznie szarpać się w dłoniach. Kiedy to poczułam, podniosłam go i puściłam, obserwując, jak dołącza do innych. Okrzyknęłam pomost i cofnęłam się na stały ląd.

Kiedy wszystkie lampiony wzleciały ku niebu, Margaux słodkim altem zaintonowała *Fire's Burning*. Odśpiewaliśmy na zmianę angielską i francuską wersję piosenki, a potem jeszcze raz i jeszcze, a nasze głosy wznosiły się i opadały, niczym łodzie na falach.

Kiedy nasze latarnie zmieniły się w odległą poświatę na niebie, Margaux i ja poszliśmy do doków. Zaniosliśmy kajak na wodę, nastaviliśmy reflektory i wsiadaliśmy do środka.

A potem powiosłowałyśmy na wyspę.

	Amanda	Margaux	Ryan
21:00	Festiwal lampionów	Festiwal lampionów	Festiwal lampionów

**DWADZIEŚCIA
LAT PÓŹNIEJ**

PIĄTEK

ROZDZIAŁ I

RUTYNA

Sean

Dla Seana Bootha, od kiedy tylko sięgał pamięcią, każdy poranek wyglądał tak samo. Budził się w małym pokoju wciśniętym na poddaszu świetlicy. Tanie koce, pod którymi spał, splatały się wokół jego kostek, a przez otwarte okno słyszał wiatr, szeleszczący w gałęziach drzew.

Wybiła szósta czterdzieści pięć. Za każdym razem szósta czterdzieści pięć. Nie musiał sprawdzać godziny – czuł to w kościach. Sean wstał natychmiast. Nie należał do tych, co się wylegają. Miał rutynę, w której utknął. Chwycenie ręcznika zarzuconego na łóżko i owinięcie go wokół nagiej talii zajęło mu minutę. W kolejnej stał już pod prysznicem po drugiej stronie korytarza. Z początku w lodowato zimnej wodzie, a po chwili w tak gorącej, że prawie się poparzył. Wyznawał trzyminutowe prysznice, nie mniej, nie więcej. Cokolwiek ponadto było marnotrawstwem. Przemył włosy kostką mydła Dove, a następnie obmył nim klatkę piersiową i fałdy. Teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, miał ich więcej niż kiedyś, ale cała reszta pozostawała z grubsza bez zmian. Zakręcił kurek, wyszorował zęby i wrócił do pokoju o szóstej pięćdziesiąt dwie. Użył ręcznika, który miał wcześniej na sobie, by wytrzeć się do sucha, po czym założył wyblakłe spodnie cargo i bluzkę z długim rękawem. Jako że nadszedł weekend Święta Pracy¹ i poranny chłód utrzyma się

¹ Święto Pracy w USA obchodzone jest w pierwszy weekend września (przyj. red.).

jeszcze długo, ubrał dodatkowo jedną z dwóch bluz dresowych Camp Macaw, jakie posiadał.

Minęła szósta pięćdziesiąt osiem, gdy uderzył kaloszami marki Tretorn w pierwszy stopień schodów prowadzących w dół, do głównej sali w świetlicy. Zanim jeszcze dotarł do ostatniego, przywitał go zapach jajecznicy i lekko przypalonego tosta. Pomachał do stojącej w kuchni Amy, jedynej kucharki, która wciąż pracowała po tym, jak wyjechali wszyscy obozowicze. Została z powodu gości, którzy mieli niedługo przyjechać.

Otworzył skrzypiące, obite siatką drzwi na ganek. Słońce świeciło jasno, ale na trawie pozostały jeszcze ślady szronu. Przyda się ją skosić, ale będzie musiał poczekać, aż odparuje wilgoć, zanim wsiądzie na kosiarkę i weźmie się do roboty.

Przeszedł na drugi koniec drewnianego ganku i rozejrzał się po podwórzu: kort do gry w tenisa, po drugiej stronie warsztat rękodzieła, ścieżka do doków i na kąpielisko. Stuletnie sosny tworzyły wrażenie zamkniętej przestrzeni, ale nigdy mu to nie przeszkadzało. To jedyny dom, jaki kiedykolwiek miał, jedyny, jakiego chciał i sama myśl o tym, że mógłby go stracić, stracić swoją rutynę i pokoik na poddaszu, była nie do zniesienia. Miał zbyt dużo do...

Nie. Zanim jeszcze cokolwiek zaczynało się dziać, on już się przepracowywał. Pan MacAllister obiecał, że się nim zajmie, a jak na razie spełnił wszystko, do czego się zobowiązał. Trzeba być cierpliwym. Bóg jeden wie, że ten facet miał na to sposób.

Podniósł rękę i chwycił postrzępioną linę dzwonu. Mimo tego, że nie miał już kogo budzić, szarpnął za sznur, ogłaszając początek dnia. Zadzwonił osiem razy, po jednym razie dla każdego z nich i ostatni dla niej. Głęboki i przeciągły dźwięk wrzynał mu się w mózg. Po tysiącu takich poranków przygłuchł lekko na prawe ucho.

Ale dość o tym. Miał pracę do wykonania.

Przyjeżdżały Makrele.

ROZDZIAŁ 2

NIE MOŻESZ WRÓCIĆ DO DOMU

Margaux

Kiedy Margaux MacAllister zatrzymała się w mieście, by podjechać do McDonalda na kanapkę śniadaniową, której nie chciała i na kawę, której nie potrzebowała, wiedziała już, że tylko gra na zwłokę. Mogła wmówić sobie, że chce jedynie uczynić zadość tradycji, ale czy coś, czego nie robiła już od dwudziestu lat, może być jeszcze tradycją?

Skręciła do McDrive'a niemal automatycznie, a w brzuchu jej zaburczało, ponieważ wyjechała z domu znacznie wcześniej, niż zazwyczaj wstawała z łóżka, nie mówiąc już o jedzeniu. Stała więc na parkingu. W powietrzu unosił się zapach smaru, który wkrótce wypełnił wnętrze samochodu. Kiedy jadła kanapkę, Margaux miała déjà vu, które, jak przypuszczała, niczym fala zaleje cały nadchodzący weekend. Był to jeden z powodów, dla których powiedziała Markowi, aby został w domu. Nie chciała co rusz tłumaczyć mu nawiązań do wydarzeń z dzieciństwa i pokazać, jaką władzę wciąż ma nad nią przeszłość. Już dawno nauczyła się, że Mark jest typem osoby niepotrafiącej wejść w obce środowisko. Mogła spodziewać się nieprzerwanej litanii pytań w stylu „a kto to był?” i „dlaczego mnie nie przedstawiłaś?”. Samo myślenie o tym już ją męczyło, więc gdy tylko zaoferował, że pojedzie razem z nią, odmówiła. Był zirytowany

i nawet nie odwrócił się, by ją pożegnać, kiedy wychodziła tego ranka, ale zajmie się tym po powrocie. Teraz i tak miała wystarczająco dużo na głowie.

Widok z parkingu był taki sam jak zawsze. Zamulona rzeka, betonowy mostek. Rząd straganów z pamiątkami wzdłuż głównej ulicy, garkuchnia i pralnia samoobsługowa, gdzie przychodzili w dni wolne, aby pozbyć się brudu z ubrań i zapełnić brzuchy frytkami oraz lodami.

Zawsze myślała o tym McDonalddie jak o bramie do obozu, ponieważ właśnie tu każdego lata rodzice Amandy zatrzymywali się na „posiłek pożegnalny”. Od kiedy skończyła dziesięć lat, mama i tata pozwalali jej jeździć do przyjaciółki na kilka tygodni przed rozpoczęciem kempingu, więc, tak jak inni obozowicze, mogła przybyć incognito. Za tamtych czasów nigdy nie chodzili do McDonalda o tak wczesnej porze, dlatego zamawiali głównie burgery i frytki, a nie McMuffina z jajkiem, którego jadła w tej chwili. Zwykle siedzieli przy jednym z chybotliwych stolików piknikowych ustawionych na nierównym skrawku trawnika i pozwalali, by wczesnoletnie słońce zaznaczało swoją obecność na ich skórze.

Widok jednak pozostał niezmienny, tak samo jak zapach i sposób, w jaki papier owinięty wokół kanapki szeleścił jej w dłoni. Był tak znajomy, że przestała dostrzegać czerwone liście rosnącego naprzeciwko klonu, przez co znów poczuła się jak latem. Mogłaby z powrotem mieć siedemnaście lat, ze wszystkim co się z tym wiązało i o czym wolałaby zapomnieć.

Skończyła jeść, zgniotła opakowanie i pokierowała samochód w stronę wyjazdu. Rozgłośnia radiowa, która dotrzymywała jej towarzystwa od Montrealu, straciła sygnał, więc dostroiła się do lokalnej francuskiej stacji o nazwie CIMO, którą ustawiła automatycznie, niemal bez zastanowienia. Leciła piosenka *Gettin' Jiggy wit It*. Dobry Boże. Ile razy tańczyły z Amandą ten głupi taniec Willa Smitha na ostatnich wspólnych wakacjach? Zbyt

wiele, aby to zliczyć. Amanda miała dar do naśladowania innych i poruszała się zupełnie jak on. Nawet nocą, gdy płynęły na wyspę, śpiewały właśnie tę piosenkę. Ich krzyki *na na na na na na na* odbijały się echem od powierzchni wody.

– Mam dla was wszystkie najlepsze hity – powiedział spiker po tym, jak utwór się skończył. – Cofnijmy się do lata z 1998.

Opony wzbily w powietrze chmurę kurzu, gdy jechała długą, piaszczystą drogą do Camp Macaw. Minęło dwadzieścia lat i nic się nie zmieniło. Czuła się, jakby utknęła w lecie 1998 roku, zupełnie jak stacja radiowa.

W jej głowie pojawiały się wspomnienia z młodości, niczym pokaz slajdów. Tam na lewo była leśna ścieżka, gdzie z Amandą dzieliły się swoim pierwszym papierosem i niemal dały się przyłapać jej siostrze, Mary. Doniosłaby na nie bez wahania i dlatego właśnie nigdy jej nic nie mówiły.

Teraz mijała stajnię, gdzie Mary sumiennie przychodziła każdego ranka o wschodzie słońca, by posprzątać po koniach i przygotować je do jazdy. Spędzała tam tyle czasu, że zawsze lekko od niej pachniało tym miejscem. Mary próbowała przekonać Margaux do lekcji, ta jednak za bardzo się bała. Mogła udawać, że jest inaczej, dopóki trzymały się ziemi, ale kiedy miały zacząć naukę skoków, Margaux wiedziała, że jej dni jazdy konnej dobiegły końca.

Mary posiadała teraz własną stajnię niedaleko stąd. Miała przyjechać później, po porannym treningu, ale to nawet lepiej. Margaux nie była jeszcze gotowa na pełną powagi Mary.

Skreśliła na zarośnięty trawą parking, gdzie stała stara, przerdzewiała, czerwona ciężarówka, którą porzucili jej rodzice. Już nawet nie pamiętała jak dawno temu. Zaparkowała obok i wyciągnęła telefon, aby sprawdzić wiadomości. *Cholera*. Po-

winna była zrobić to jeszcze w Magog, gdy siedziała w McDonalddie. Zauważyła dwie wiadomości od Marka i brak zasięgu. Nigdy nie postawiono dodatkowej wieży sygnałowej w okolicy, więc równie dobrze mogłaby nadal być w roku 1998. Jej rodzice sprzeciwiali się takiej inwestycji, twierdząc, że obozowiczom dobrze zrobi strefa wolna od technologii. Margaux popierała taki sposób myślenia, ale i tak się zdenerwowała. To, że będzie poza zasięgiem przez czterdzieści osiem godzin, z pewnością nie spodoba się Markowi. Lepiej, żeby pamiętała i zadzwoniła do niego z telefonu stacjonarnego, zanim zwariuje i wyśle za nią gliniarzy.

Ktoś zastukał w przednią szybę. Wrzasnęła i upuściła komórkę na podłogę.

– Sean! Cholera, wystraszyłeś mnie niemal na śmierć.

Przyłożył dłoń do prawego ucha i pokazał jej, by otworzyła okno. Wcisnęła guzik i szyba zsunęła się w dół.

– Cześć, Margaux.

– Nie powinieneś tak podkradać się do ludzi.

– Nie podkradłem się. Przeszedłem prosto przez parking. Nie widziałaś mnie?

– Sprawdziałam coś w telefonie.

Sięgnęła w dół i podniosła komórkę, ścierając brud z ekranu. Mark miał rację w tym swoim częstym, irytującym marudzeniu, że powinna posprzątać samochód. Nie wiedziała, dlaczego myślała o nim w tak wrogi sposób. Przecież go kochała.

– Tutaj to nie działa – powiedział Sean. Schował dłonie do kieszeni spodni cargo. Włosy wciąż miał takie same jak kiedyś. Rude niczym dojrzała pomarańcza, chociaż teraz ściał je na krótko. Dawniej były dłuższe i kręcone, a dzieci nazywały go za plecami „Klaunikiem”.

– Zauważyłam – odpowiedziała Margaux.

Wzruszył ramionami i stał dalej w tym samym miejscu. Poczuli się jak w pułapce. Chciała wyjść z samochodu, ale nie miała

nastroju na długą i zawiłą rozmowę z Seanem. Nie pozostawał jej jednak żaden wybór, był on stałym elementem tego miejsca jak gliniany kort tenisowy. Jej rodzice polegali na nim w takich sprawach, jak naprawa przeciekającego dachu i pilnowanie doków przed zatonięciem, a jeżeli czasami przyprawiał ją o zawroty głowy, cóż, to pewnie dlatego, że pamiętała, jak gapił się na nią, kiedy miała trzynaście lat, gdy myślał, że ona tego nie widzi.

– Otwieram drzwi – rzuciła. Zrobił krok w tył. Zdecydowała się nie zamykać okna, aby wywietrzyć samochód. Słońce świeciło jasno, ale jeszcze nie było ciepło. Wzięła głęboki wdech, wciągając woń sosen, pyłu i rdzy. Tak właśnie pachniał dom.

– Masz dość jaskrawe buty – rzekł Sean.

– Co? Ach, te. Tak, są komiczne. – Na stopach miała nowe buty do biegania, które kupiła dzień wcześniej. Była w połowie przygotowań do maratonu i musiała przyzwyczać się do nich przed wyścigiem, który rozpocznie się za trzy tygodnie. Zwlekała zbyt długo i kiedy w końcu poszła do sklepu, w jej rozmiarze mieli tylko jedną parę, różową z pomarańczowymi akcentami. – Miałam nadzieję, że pokryją się błotem, bym nie musiała patrzeć na ich kolor – powiedziała.

– Tego lata nie ma za dużo błota.

– Zauważyłam.

Sięgnął na tylne siedzenie i chwycił jej torbę ze zniszczonej skóry, spakowaną na krótki pobyt. Wieki temu odziedziczyła ją po dziadku ze strony matki.

– Sama to zaniosę.

– Nie. No wiesz. Pan MacAllister chciałby, abym się tobą zajął, jak zawsze.

– Możesz nazywać go Pete. Mówił ci to wiele razy.

– Nie czuję się z tym dobrze.

Margaux ugryzła się w język. Nigdy nie rozumiała służalczego podejścia Seana w stosunku do jej rodziców. Jednak na razie

nie wyglądało na to, aby miało się to zmienić. Pozwoliła mu nieść torbę i wyprowadzić się z parkingu.

– Ciebie, Kate i Liddie umieszczę w domku francuskim, jeżeli to nie problem. Chyba że wolisz miejsce w domu...

– Nie. Jest w porządku.

Minęli rząd wysokich, pachnących sosen, rosnących przy korcie tenisowym. Szara glina została wymyta i z braku deszczu wyblakła. W głowie Margaux znów zaczął się pokazywać slajdów. Za kortem znajdowała się chatka dla pracowników, schowana w lesie, gdzie spędziła zbyt wiele nocy, pijąc, paląc i gadając głupoty. Po drugiej stronie stał domek, w którym mieszkali nastoletni chłopcy, zajmujący się konserwacją. Siedlisko hormonów. Pewnego lata, gdy miała szesnaście lat, straciła tam dziewictwo z Simonem Vauclairem. Po wszystkim zwierzyła się Amandzie na ucho, pozbawiona tchu i trochę tym wszystkim zaskoczona. Przyjaciółka przytakiwała ze zrozumieniem, mimo że sama wciąż nie przeżyła pierwszego razu, bo zachowywała dziewictwo dla Ryana. Jednocześnie Margaux zdawała sobie sprawę z tego, że jest to skazane na niepowodzenie, ponieważ jej brat nigdy nie poświęciłby Amandzie czasu.

Zachowywała to dla Ryana. Brzmiało to jak tytuł jakiegoś tandetnego filmu klasy B. Pierwszym filmem, jaki Margaux obejrzała po tym wszystkim, był *Szeregowiec Ryan*, na którym płakała i płakała. Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego. Może Amanda by zrozumiała.

Teraz było za późno, aby ją spytać.

– Wszystko gra? – zagadnął Sean. – Z domkiem?

– Powiedziałam już, że w porządku.

– Tylko się upewniam. Wrzuć na luz.

– Wrzuć na luz? Naprawdę, Sean, czy ty nigdy nie dorośniesz?

– Co to ma niby znaczyć?

Byli w drodze. Dom jej rodziców majaczył z tyłu, lecz Margaux nie odwróciła się, aby na niego spojrzeć. To ostatnie miejsce, w którym ich widziała, zanim zmarli wiosną.

– Po prostu... obóz – powiedziała. – Czemu wciąż tu jesteś?

– Bo niosę za tobą torbę.

– Nie. Mam na myśli *tu*. W obozie. Żyjesz tutaj.

– To mój dom.

– Nieprawda.

Sean upuścił jej torbę na drogę, wzbijając małą chmurę pyłu.

– Czemu taka jesteś? Nic ci nie zrobiłem.

Margaux wiedziała, że zachowuje się nieodpowiednio, jak kretyńka. Ten dzień już ją wykańczał. Dom, pusty dom rodziców wciągał, sięgał w jej stronę, by zrobić z niej osobę, którą była dawniej. To wakacyjne ja. Nie chciała już dłużej być tą dziewczyną, ale czasami to nie od ciebie zależy, kim jesteś.

– Przepraszam, Sean. To przez to miejsce.

– Nie możesz go obwiniać za własne zachowanie.

– Nie mogę?

Kołysał się w przód i w tył na piętach. Życie spędzone na słońcu sprawiło, że wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat.

– Twój rodzice byli dla mnie dobrzy, wiesz?

– Podziwiam ich za to.

– Tylko za to?

Wreszcie obejrzała się przez ramię. Jej dom był ranczem z lat pięćdziesiątych, które nigdy nie pasowało do białej, oszalowanej, drewnianej świetlicy i ciemnozielonych domków rozsianych na dwustu akrach terenu nad jeziorem.

– Tego właśnie chcesz?

– Czego?

– Domu? Chcesz tu zostać i żyć w ich domu?

– Nigdy...

Słowa Seana uciął dźwięk radia samochodowego, które grało o wiele głośniej niż powinno. Wymienili spojrzenia i już wiedzieli.

Przyjechał Ryan.